

Pranie mózgu na wolności

Noam Chomsky, Daniel Mermet

Przejęcie wielkich dzienników - "Wall Street Journal" w Stanach Zjednoczonych, "Les Echos" we Francji - przez milionerów przyzwyczajonych do tego, by naginać prawdę do swego interesu, skrajna mediatyzacja Nicolasa Sarkozy'ego, informacja pożarta przez sport, pogodę i ciekawostki, a wszystko to razem zatopione jeszcze w obfitości reklam: sfera "komunikacji" stanowi nieprzerwanie narzędzie władzy rządów w systemach demokratycznych. Jest dla nich tym, czym propaganda dla dyktatur. W wywiadzie, którego zgodził się udzielić dziennikarzowi France Inter Danielowi Mermetowi, amerykański intelektualista Noam Chomsky analizuje mechanizmy dominacji i umieszcza je w kontekście historycznym. Przypomina np., że reżimy totalitarne oparły się na technikach reklamowych udoskonalonych w Stanach Zjednoczonych w przededniu I wojny światowej. Poza tym, rysuje perspektywy przekształceń społecznych we współczesnym świecie i mówi, jak może wyglądać utopia urządzona przez tych, którzy wbrew pedagogice niemożności wbijanej do głów przez media, nie zrezygnowali ze zmieniania świata.

Zacznijmy od kwestii mediów. We Francji 2005 r. większość tytułów prasowych opowiadała się za "tak" w referendum w sprawie Konstytucji Europejskiej, a mimo to 55 proc. Francuzów zagłosowało "nie". Wydaje się więc, że manipulacyjna władza mediów nie jest absolutna. Czy ten głos obywateli był zarazem "nie" powiedzianym mediom?

Napisana przeze mnie wspólnie z Edwardem Hermanem praca o manipulacji medialnej czy też fabrykowaniu zgody nie dotyka kwestii, jaki wpływ media rzeczywiście mają na opinię publiczną¹. To temat skomplikowany, ale kilka pogłębionych studiów w tej dziedzinie pozwala sądzić, że w istocie media mają największy wpływ na najbardziej wykształconą część społeczeństwa. Masowa opinia publiczna wydaje się mniej podporządkowana dyskursowi płynącemu z mediów.

Weźmy np. ewentualność wojny z Iranem. 75% Amerykanów uważa, że Stany Zjednoczone powinny przystopować ze swoimi pogroźkami wojennymi i poszukiwać porozumienia drogą dyplomatyczną. Badania przeprowadzone przez zachodnie instytuty sugerują, że irańska i amerykańska opinia publiczna zgadzają się także w pewnych aspektach kwestii nuklearnej: miażdżąca większość populacji obydwu krajów uważa, że strefa rozciągająca się od Izraela do Iranu powinna być całkowicie wolna od nuklearnych instalacji wojskowych, w tym tych, które są w posiadaniu amerykańskich oddziałów w regionie. Jednak żeby znaleźć tego rodzaju informacje w mediach, trzeba się sporo naszukać.

Jeśli chodzi o główne partie polityczne w obydwu krajach, to żadna z nich nie stoi na takim stanowisku. Gdyby Iran i Stany Zjednoczone były autentycznymi demokracjami, we wnętrzu których większość rzeczywiście decyduje o kierunku polityki, obecny spór na tle nuklearnym dawno byłby rozwiązany. Jest wiele takich przypadków.

Jeżeli np. chodzi o budżet federalny Stanów Zjednoczonych, większość Amerykanów życzy sobie redukcji wydatków militarnych, a w zamian za to wzrostu wydatków na cele

¹ Edward Herman i Noam Chomsky, *Manufacturing Consent*, Pantheon, New York 2002. "Fabrykowanie zgody" to wyrażenie eseisty amerykańskiego Waltera Lipmanna, który poczynawszy od lat 20. XX wieku, wątpiąc w możliwość kierowania się przez zwykłego człowieka rzeczywista mądrością, proponował, aby wykształcone elity "dezynfekowały" informację zanim dotrze ona do mas.

socjalne, na kredyty udzielane Narodom Zjednoczonym, na międzynarodową pomoc humanitarną, a także anulowania obniżki podatków, którą George W. Bush wprowadził ku uciesze i zyskom najbogatszych.

We wszystkich tych kwestiach polityka Białego Domu jest dokładnie przeciwna oczekiwaniom opinii publicznej. Ale badania, które ukazują ten utrzymujący się rozdziew rzadko są publikowane w mediach. Nie dość, że obywatele są odcięci od ośrodków podejmowania decyzji, to jeszcze pozostają w kompletnej niewiedzy na temat rzeczywistego stanu opinii publicznej.

Świat niepokoi się przepastnym "podwójnym deficytem" Stanów Zjednoczonych: deficytem handlowym i deficytem budżetowym. Jednakże te dwa deficyty istnieją dzięki temu, że są ściśle powiązane z trzecim: mianowicie z deficytem demokratycznym, który nie przestaje się pogłębiać, nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale w ogóle w świecie Zachodu.

Jakakolwiek dziennikarska gwiazda czy prezenter popularnych wiadomości telewizyjnych, zapytany, czy wywierane są na niego naciski, czy zdarza mu się, że bywa cenzurowany, odpowiada, że jest całkowicie wolny i wyraża swoje własne przekonania. Jak działa kontrola myśli w społeczeństwie demokratycznym? Bo w dyktaturach - wiadomo.

Kiedy wypytuje się dziennikarzy, odpowiadają natychmiast: "Żadnych nacisków nie było, piszę, co chcę". To prawda. Po prostu, gdyby występowali z pozycji przeciwnej dominującej normie, już by nie pisali. Zasada nie jest oczywiście absolutna, nawet mnie się zdarza być publikowanym w amerykańskiej prasie, Stany Zjednoczone nie są przecież znowu krajem totalitarnym. Ale jeśli ktoś nie spełnia pewnych minimalnych wymagań, nie ma żadnych szans, by mu kiedyś przyznano miejsce poważnego komentatora.

To zresztą jedna z głównych różnic między systemem propagandy państwa totalitarne-go, a sposobem postępowania w społeczeństwach demokratycznych. Nieco przerysowując, można powiedzieć, że w totalitaryzmie państwo decyduje, jaką linią należy podążać i każdy następnie ma się do tego dostosować. Społeczeństwa demokratyczne działają w inny sposób. "Linia" nie jest nigdy przedstawiona jako taka - ona jest milcząco założona. W pewnym sensie uprawia się swego rodzaju "pranie mózgu na wolności". Nawet "gorące" debaty w dominujących mediach, w ramach założonych z góry parametrów trzymają w ryzach liczne przeciwstawne punkty widzenia.

System kontroli społeczeństw demokratycznych jest niezwykle skuteczny; sący obowiązującą linię przewodnią, jak powietrze, którym oddychamy. Nie dostrzegamy go, a nawet wydaje nam się, że jesteśmy w samym środku niezwykle żywiołowego sporu. W gruncie rzeczy działa to o wiele sprawniej niż w systemach totalitarnych.

Weźmy dla przykładu Niemcy początku lat 30. Mamy zwyczaj o tym zapominać, ale był to wówczas kraj najbardziej w Europie zaawansowany w dziedzinie sztuki, nauki, technologii, literatury, filozofii. A potem, bardzo szybko, nastąpił całkowity zwrot, Niemcy stały się najbardziej morderczym i barbarzyńskim krajem w historii ludzkości.

Doszło do tego dzięki procesowi destylacji strachu: przed bolszewikami, Żydami, Amerykanami, Cyganami, krótko mówiąc wszystkimi, którzy zdaniem nazistów zagrażali sercu cywilizacji europejskiej, tzw. "bezpośrednim spadkobiercom cywilizacji greckiej". W każ-

dym razie tak o tym pisał filozof Martin Heidegger w 1935 r. Otóż większość niemieckich mediów, które bombardowały ludność kraju tego rodzaju wiadomościami posługiwała się technikami marketingowymi wypracowanymi przez amerykańskich specjalistów od reklamy.

Nie zapominajmy, jak konstytuuje się ideologia. Żeby dominować, sama przemoc nie wystarczy, potrzebne jest dodatkowe uzasadnienie innej natury. Osoba, która sprawuje władzę - czy to będzie dyktator, kolonizator, biurokrata, mąż czy szef - potrzebuje usprawiedliwiającej ideologii, zawsze tak samo głoszącej, że dominacja jest w istocie "dla dobra" zdominowanego. Mówiąc inaczej, władza prezentuje się zawsze jako altruistyczna, bezinteresowna, łaskawa.

Gdy przemoc państwa już nie wystarcza

W latach 30. XX wieku reguły nazistowskiej propagandy nakazywały, m.in., posługiwać się prostymi słowami, powtarzanymi bez przerwy i wiązаныmi z emocjami, uczuciami, lękami. Kiedy Hitler napadł na Sudety [w 1938 r.], działało się to przy wtórze odwołań do najbardziej szlachetnych motywacji, do konieczności "interwencji humanitarnej" mającej zapobiec "czystkom etnicznym", które groziły społeczności niemieckojęzycznej, do przyznania każdemu prawa do życia pod "opiekuńczym skrzydłem" Niemiec, potęgi najbardziej na świecie przodującej pod względem sztuki i kultury.

W dziedzinie propagandy w pewnym sensie nic się nie zmieniło od czasów Aten, ale z drugiej strony wprowadzono sporo udoskonaleń. Narzędzia uległy znacznemu wyrafinowaniu, w szczególności - paradoksalnie - w krajach najbardziej wolnych: Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. To zresztą tam narodził się w latach 20. XX w. nowoczesny przemysł public relations, albo - mówiąc inaczej - fabryka opinii czy też propaganda.

Te dwa kraje dokonały tak ogromnego postępu w domenie praw demokratycznych (prawo głosu kobiet, wolność wypowiedzi, itd.), że aspiracji do wolności nie dało się już dłużej podporządkować ramom, ograniczeniom i zakazom narzuconym bezpośrednio przez państwa. Zwróciliśmy się więc ku technologiom "fabrykowania zgody". Przemysł public relations produkuje (w najściślejszym sensie tego słowa) zgodę, akceptację, podporządkowanie. Kontroluje idee, myśli i umysły. W stosunku do totalitaryzmu to duży postęp: dużo przyjemniej być poddanym reklamie niż torturom.

W Stanach Zjednoczonych wolność słowa jest chroniona w stopniu, który wydaje mi się nieznanym żadnemu innemu państwu na świecie. Jest to rzecz raczej nowa. W latach 60. Sąd Najwyższy podniósł poprzeczkę ochrony wolności słowa bardzo wysoko. Jest to moim zdaniem wyraz pewnych ustanowionych w XVIII w. fundamentalnych wartości Oświecenia. Stanowisko Sądu Najwyższego było takie, że jedyną granicą wolności słowa jest udział słowa w akcie przestępstwa. Jeżeli np. wchodzę do sklepu, żeby go obrabować i jeden z moich współników trzyma w ręce pistolet, a ja mówię "strzelaj!", to taka wypowiedź nie jest chroniona przez Konstytucję. W innych przypadkach motyw musi być niezwykle poważny, żeby wolność słowa została zakwestionowana. Sąd Najwyższy powtórzył tę zasadę nawet z korzyścią dla Ku Klux Klanu.

We Francji, Wielkiej Brytanii i - jak sądzę - w innych krajach europejskich wolność wypowiedzi jest bardziej restrykcyjnie regulowana. Według mnie kluczowe pytanie to: czy

Państwo ma prawo określać, co jest prawdą historyczną i karać tego, kto się wyłamuje? Takie myślenie powraca do praktyk stalinizmu.

Francuskim intelektualistom z trudem przychodzi przyjąć do wiadomości, że mają właśnie taką skłonność. Ale odrzucenie takiego podejścia powinno być pozbawione jakichkolwiek wyjątków. Państwo nie powinno mieć najmniejszego prawa karać kogoś, kto mówi, że Słońce krąży wokół Ziemi. Zasada wolności słowa ma w sobie coś bardzo elementarnego: albo bronimy jej w przypadku opinii, której nienawidzimy, albo nie bronimy jej wcale. Nawet Hitler i Stalin dopuszczali wolność słowa dla tych, którzy podzielali ich poglądy?

Dodam jeszcze, że jest coś godnego pożałowania, jeśli nie skandalicznego, w fakcie, że musimy o tym debatować dwieście lat po Wolterze, który powiedział: "Będę bronił swoich poglądów aż do śmierci, ale oddam życie, żeby pan mógł bronić swoich". Pamięci ofiar Holocaustu oddaje się niedźwiedzią przysługę, adaptując dla nich jedną z fundamentalnych zasad ich katów.

W jednej ze swoich książek komentuje pan zdanie Milтона Friedmana: "Zarabianie pieniędzy to po prostu istota demokracji"?

Prawdę mówiąc te dwie sprawy są dla siebie tak zupełnymi przeciwieństwami, że nie sposób tego poważnie komentować? W demokracji chodzi o to, żeby ludzie mogli decydować o swoim życiu i o wyborach politycznych, które ich dotyczą. Dążenie do zysków jest patologią naszych społeczeństw, opartych na bardzo szczególnych strukturach. W prawidłowym, etycznym społeczeństwie całe to zmartwienie o zyski byłoby zupełnie marginalne. Np. na moim wydziale uniwersyteckim [w Massachusetts Institute of Technology] jest kilku naukowców, którzy harują, żeby zarobić dużo pieniędzy, ale dla nas oni są jak ludzie z marginesu, jak jednostki z zaburzeniami, prawie jak przypadki patologiczne. Duch, który ożywia wspólnotę akademicką, to duch dążenia do odkryć, dla naszej intelektualnej potrzeby, jak i dla dobra wszystkich.

W poświęconej panu książce wydanej przez wydawnictwo L'Herne, Jean Ziegler pisze: "mieliśmy do czynienia z trzema totalitaryzmami: stalinowskim, nazistowskim, a obecnie z totalitaryzmem TINA"². Porównałby pan te trzy totalitaryzmy?

Nie ustawiłbym ich wszystkich w jednym szeregu. Walka z "Tiną" jest wyzwaniem intelektualnym, którego jednak nie można zestawiać z obozami koncentracyjnymi i z Gulagiem. Ale polityka Stanów Zjednoczonych wymaga masowej opozycji na poziomie światowym. Argentyna i Wenezuela wyrzuciły za drzwi Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Stany Zjednoczone musiały zrezygnować ze środka, który jeszcze dwadzieścia czy trzydzieści lat temu stosowały pospolicie: z zamachu stanu w Ameryce Łacińskiej. Ekonomiczny program neoliberalny, który narzucono Ameryce Łacińskiej siłą w latach 80. i 90., jest dziś odrzucany przez cały kontynent. Ten sam sprzeciw wobec ekonomicznej globalizacji odnajdujemy na całym świecie.

² TINA to inicjały frazy "There is no alternative" ("nie ma alternatywy"), wypowiedzi Margaret Thatcher przedstawiającej neoliberalny kapitalizm jako niemożliwy do odrzucenia i jedyną możliwą postać globalizacji.

Ruch na rzecz sprawiedliwości, który jest przedmiotem zainteresowania mediów jedynie w czasie Światowego Forum Społecznego, w rzeczywistości pracuje cały rok. Jest to fenomen w historii całkowicie nowy, być może wyznaczający nawet początek jakiejś prawdziwej Międzynarodówki. Otóż ludzie ci walczą w przekonaniu o istnieniu możliwości innej, inaczej urządzonej wymiany. Jaki można znaleźć lepszy przykład innej globalizacji? Wrogie media nazywają tych, którzy przeciwstawiają się globalizacji neoliberalnej "antyglobalistami", podczas gdy oni walczą o inną globalizację, o globalizację służącą całym społeczeństwom.

Możemy obserwować kontrast pomiędzy jednymi a drugimi, bo dokładnie w tym samym czasie, w Davos, ma miejsce Światowe Forum Ekonomiczne, które pracuje nad planetarną integracją ekonomiczną, ale na korzyść jedynie finansjery, banków i funduszy rentierskich. Są to potęgi, które kontrolują także media. Ich koncepcja globalnej integracji służy wyłącznie interesom inwestorów. Media dominujące uważają, że to jedyna jej forma, jaka oficjalnie zasługuje na miano "globalizacji".

To doskonały przykład funkcjonowania propagandy w społeczeństwach demokratycznych. Jest do tego stopnia skuteczna, że nawet uczestnicy Światowego Forum Społecznego akceptują czasami zabarwione negatywnymi intencjami określenie "antyglobaliści". Przyjechałem do Porto Alegre w ramach forum, gdzie uczestniczyłem Światowej Konferencji Rolników. Oni przybyli tam z przekonaniem, że reprezentują większość ludności planety.

Ustawia się Pana w kategorii anarchistów lub socjalistów wolnościowych. Jakie jest miejsce państwa w demokracji, o jaką Panu chodzi?

Żyjemy na tym konkretnym świecie, a nie w wyimaginowanym. Na tym świecie istnieją instytucje mające władzę dyktatorską, są nimi wielkie przedsiębiorstwa. To one są najbliższe instytucjom totalitarnym. Nie poczuwają się do żadnych zobowiązań wobec społeczeństwa; postępują jak drapieżnicy, dla których inne firmy są żerem. Żeby się przed nimi bronić, społeczeństwo ma tylko jedno narzędzie: państwo. W rzeczy samej, tarcza to nie za bardzo skuteczna, bo zazwyczaj szeroko powiązana z tymi drapieżnikami. Ale z jedną niepodważalną różnicą: General Electric nie musi z niczego zdawać sprawy, a państwo od czasu do czasu musi się przed społeczeństwem wytłumaczyć.

Kiedy demokracja zostanie rozszerzona na tyle, że obywatele przejmą kontrolę nad środkami produkcji i wymiany, że zostaną oni włączeni w funkcjonowanie i kierowanie strukturami, w których żyją, państwo będzie mogło krok po kroku zniknąć. Zostanie zastąpione przez dobrowolne stowarzyszenia w miejscach, w których ludzie pracują i żyją.

Ma pan na myśli sowiety?

Tym właśnie były sowiety. Ale pierwsza rzecz, którą Lenin i Trocki zniszczyli tak szybko po Rewolucji Październikowej, były właśnie sowiety, rady robotnicze i wszystkie instytucje demokratyczne. Lenin i Trocki byli z tego względu najgorszymi wrogami socjalizmu w XX wieku. W ślad za ortodoksyjnymi marksistami uważali oni, że społeczeństwo tak zapóźnione jak Rosja w ich czasach nie mogło przejść bezpośrednio do socjalizmu, zanim nie zostało siłą wepchnięte w industrializację.

Kiedy w 1989 r. system komunistyczny się zawalił, pomyślałem, że ten upadek jest paradoksalnie zwycięstwem socjalizmu. Ponieważ socjalizm taki, jakim ja go pojmuję, impliku-

je jako swoje minimum: demokratyczną kontrolę produkcji, wymiany i innych wymiarów ludzkiego życia.

Jednakże dwa główne systemy propagandy zgodziły się co do jednego: żeby dyktaturę ustanowioną przez Lenina i Trockiego, następnie przekształconą przez Stalina w polityczne potworności, nazywać "socjalizmem". Rządy Zachodu mogły być jedynie zachwycone tym absurdalnym i skandalicznym użyciem terminu, bo dzięki niemu mogły przez dziesięciolecia szkalować socjalizm autentyczny.

Z takim samym entuzjazmem, tylko że w przeciwnym kierunku, sowiecki system propagandy eksploatował na swoją korzyść sympatię i zaangażowanie wielu robotników w stosunku do autentycznych idei socjalizmu.

Ale czy nie jest prawdą, że wszystkie formy samoorganizacji według zasad anarchistycznych ostatecznie się zawaliły?

Nie ma stałych "zasad anarchistycznych", jakiegoś wolnościowego katechizmu, któremu trzeba składać przysięgę. Anarchizm, a przynajmniej ja go tak rozumiem, jest ruchem myśli i działań ludzkich mających na celu rozpoznanie struktur władzy i dominacji, żądanie od nich, by przedstawiły uzasadnienie swojego istnienia i w razie gdyby nie potrafiły tego przekonująco uczynić (a tak jest zazwyczaj), usiłowanie przekroczenia ich.

Anarchizm, jako myśl wolnościowa, wcale się nie "zawalił", ma się całkiem nieźle. Jest u źródła wielu rzeczywistych postępowych zmian. Wiele form opresji i dominacji, kiedyś słabo rozpoznanych i jeszcze słabiej zwalczanych, dzisiaj jest już niedopuszczalnych. To jest sukces, krok naprzód dla całej ludzkości, a nie porażka.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Noam Chomsky, Daniel Mermet
Pranie mózgu na wolności

<http://lewica.pl/?id=15366>

*Wypowiedzi zebrane przez Daniela Mermeta, przejrzone i poprawione przez autora. Tłumaczenie
Jarosław Pietrzak dla polskiej edycji miesięcznika "Le Monde Diplomatique".*

pl.anarchistlibraries.net